

Opowieści niesamowite (1)  
*Literatura francuska*

wybór i wstęp  
Jerzy Parvi

pośłowie  
Maciej Płaza

przełożyli  
Eligia Bąkowska, Tadeusz Boy-Żeleński, Irena Dewitz,  
Joanna Guze, Julian Rogoziński, Julian Tuwim,  
Adam Ważyk

Państwowy Instytut Wydawniczy

Jacques Cazotte  
Diabeł zakochany

przełożył  
Julian Tuwim

W dwudziestym piątym roku życia byłem kapitanem gwardii przybocznej króla Neapolu. Często hulaliśmy w gronie kamratów, jak czynić to zwykła młodzież, oddając się grze i miłośkom, póki nastarczyła kiesa, a gdy wyczerpały się środki, z braku czego lepszego filozofowaliśmy na swych kwaterach.

Pewnego wieczoru, kiedyśmy się przy butelczynie wina cypryjskiego i suszonych kasztanach dostatecznie nagadali, rozmowa zeszała na kabałę i kabalistów.

Jeden spośród nas twierdził, iż jest to wiedza istotna, oparta na całkiem pewnych doświadczeniach. Czterej inni, młodszy, twierdzili natomiast, że kabała jest stekiem nonsensów, źródłem matactw, dobrych bądź do oszukiwania łatwowiernych, bądź do zabawiania dzieci.

Najstarszy z nas, z pochodzenia Flamandczyk, kurzył jeno swą lulkę, minę miał roztargnioną i nie odzywał się słowem. Obojętny wyraz twarzy, jego roztargnienie zwróciły moją uwagę pośród hałasu i zgiełku, który nas ogłuszał i nie pozwalał mi brać udziału w dyspacie zbyt beładnej, aby mogła mnie zaciekawić.

Znajdowaliśmy się w pokoju palacza; noc zapadła, towarzystwo rozeszło się i zostaliśmy we dwóch: ów najstarszy i ja.

Gospodarz palił flegmatycznie w dalszym ciągu. Ja zaś wsparłem łokcie na stole i milczałem. Wreszcie towarzyszy odezwał się pierwszy.

– Młodzieńcze, byłeś przed chwilą świadkiem wielkiej wrzawy. Czemuś nie wmieszał się do sporu?

– Wolę bowiem milczeć – odparłem – niżli chwalić lub ganić to, na czym się nie znam. Nie wiem nawet, co oznacza słowo kabała.

– Ma ono wielorakie znaczenia – odrzekł. – Nie o nazwę jednak chodzi, lecz o rzecz samą. Czy sądzisz, że istnieć może wiedza ucząca przemiany metali i poddająca duchy władzy naszej?

– O duchach, o swoim zaś przede wszystkim, nie wiem nic, z wyjątkiem tego, że pewien jestem jego istnienia. Co zaś tyczy się metalu, znam wartość dukata przy grze w oberży lub gdzie bądź indziej, nie umiałbym jednak twierdzić na pewno ani niczemu zaprzeczyć, gdy mowa o istocie tych lub innych kruszców, o przemianach ich oraz wpływach, którym podlegają.

– Młody przyjacielu, podoba mi się bardzo nieświadomość twoja; warta jest tyle, ile uczość innych, gdyż ty nie błędzisz przynajmniej, jeżeli zaś nie jesteś wtajemniczony, możesz się nim stać. Ująłeś mnie sobą, swym otwartym charakterem i prostotą ducha. Wiem nieco więcej niż inni, przysięgnij mi pod słowem honoru, że zachowasz najściślejszą tajemnicę, obiecaj, iż będziesz postępował rozważnie, a staniesz się uczniem moim.

– Wyznanie twoje, drogi Soberano, cieszy mnie bardzo. Ciekawość jest największą namiętnością moją. Wyznam ci, że z przyrodzenia nie czuję skłonności do pospolitych nauk naszych. Zawsze zdawały mi się one nazbyt ograniczone i przeczynałem tę sferę wyższą poznania, do której przy twojej pomocy wznieść się pragnę. Lecz gdzież jest ten pierwszy klucz do owej wiedzy? Według mniemania głoszzonego w dyspucie przez towarzyszy naszych duchy same pouczają nas, czy można związać się z nimi.

– Otóż to właśnie, mój Don Alvaro! Nikt wiedzy nie zaczerpnie u siebie samego. Co zaś do możliwości obcowania z duchami, to dam ci natychmiast dowód niewątpliwy.

Wygłosiwszy to zdanie, Soberano wypalił lulkę do końca, stuknął nią trzykrotnie, aby wyrzucić resztki popiołu, i położył fajkę na stole tuż koło mnie. Po czym zawołał: „Calderonie, nabij fajkę, zapal ją i przynies mi tu”.

Ledwo rozkazał, już spostrzegłem, że fajka znikła, i zanim zdołałem zastanowić się nad przyczyną tego dziwu lub zapytać, kto zacz jest ów Calderon spełniający rozkazy, fajka zapalona powróciła na swe dawne miejsce, a mój towarzysz wznowił swoje zajęcie. Widziałem, że pali nie tyle dla smakowania tytoniu, ile po to, aby się napawać zdumieniem moim. Po czym wstał i rzekł: „Jutro mam służbę dzienną, muszę więc wypocząć. Idź i ty spać, bądź rozsądny, a zobaczymy się jeszcze”.

Wyszedłem, podniecony ciekawością i żądny zaznania tych nowych wieści, których mi Soberano miał udzielić. Widziałem się z nim nazajutrz i podczas dni następnych. Jedno tylko miałem pragnienie; stałem się jego cieniem. Zadawałem mu tysiące pytań: na jedne odpowiadał wymijająco, na inne – tonem wyroczeni. Wreszcie zapytałem o religię wyznawaną przez podobnych jemu. „Jest to – odrzekł – religia naturalna”.

Zagłębiliśmy się w szczegóły i wtedy zauważyłem, iż zdania jego bardziej odpowiadają skłonnościom moim niżli zasadom; pragnąłem jednak cel zamierzony osiągnąć, przeto nie wolno mi było sprzeciwiać się.

– Rozkazujesz duchom – rzekłem mu – ja pragnę także obcować z nimi. Pragnę nade wszystko!

– Raptus z ciebie, towarzyszu! Za wcześniej jeszcze! Nie przebyłeś okresu próby! Nie spełniłeś ani jednego z koniecznych warunków, a przecież dopiero wtedy śmiało przystąpić można do owej wzniosłej dziedziny.

– Tak? A czy długo czekać muszę?

– Ze dwa lata...

– W takim razie muszę skwitować ze wszystkiego! – krzyknąłem. – Umarłbym przez ten czas z niecierpliwości!

Soberano, jesteś okrutny! Nie zdajesz sobie widocznie sprawy, jak płomiennie jest moje pragnienie... Pali mnie po prostu!

– Młodzińcze, sądziłem, że jesteś rozumniejszy. Zaczynam się lękać i o ciebie, i o siebie samego. Jak to? Chcesz wywoływać duchy bez wszelkich przygotowań?

– E, cóż mi się stać może?

– Nie mówię, że cię na pewno spotka jakieś nieszczęście. Jeżeli duchy potrafią owładnąć nami, to dzieje się to jedynie za sprawą naszej słabości i małoduszności. Gdyż w gruncie rzeczy stworzeni jesteśmy do rozkazywania innym.

– Więc będę im rozkazywał!

– Mężne masz serce! Lecz pomyśl, jeżeli stracisz głowę? Jeżeli w pewnej chwili struchlejesz?...

– Gdy o to tylko chodzi, abym się nie bał, to wyzywam je, niech spróbują mnie przestraszyć!

– Tak? A gdybyś diabła ujrzął?!

– Samego księcia ciemności z piekła wytargałbym za uszy!

– Bravo! Jeżeliś taki pewny siebie, możesz spróbować; obiecuję ci moją pomoc. W przyszły piątek będziesz u mnie wraz z dwoma przyjaciółmi moimi na obiedzie i wtedy doprowadzimy całą przygodę do skutku.

Działo się to we wtorek. Na żadną schadzkę miłosną nie czekałem nigdy tak niecierpliwie. Nadchodzi wreszcie dzień umówiony. Zastaję u mego kamrata dwie osoby o wyglądzie niezbyt ujmującym. Zjadamy obiad, rozmawiając o rzeczach obojętnych.

Po obiedzie proponuje ktoś przechadzkę pieszo do ruin Portici. Idziemy, przychodzimy na miejsce. Te szczątki najwspanialszych budowli, rozsypane, zburzone, rozrzucone, jeżyńą zarosłe, budzą w fantazji mojej niezwykle obrazy. „Oto – powiadam sobie – przemoc czasu nad dziełem dumy i pracy ludzkiej”.

Wkraczamy na ruiny i wreszcie po gruzach i zwaliskach prawie po omacku dotarliśmy do miejsca tak ciemnego, że ani promyk światła z zewnątrz przeniknąć doń nie mógł.

Towarzysz mój prowadził mnie za ramię. Nagle przystaje i zatrzymuje mnie. Wtedy jeden z nieznanomych krzesa ogień i zapala ogarek. Miejsce, w którym byliśmy, rozjaśnia się nieco, spostrzegam, że znajdujemy się pod dość dobrze zachowanym sklepieniem o dwudziestu pięciu stopach obwodu, skąd cztery wyjścia prowadzą. Zachowujemy najgłębsze milczenie. Trzcina, która służyła mu za podporę w drodze, zakreśla towarzysz mój koło na miękkim piasku pokrywającym ziemię, następnie rysuje kilka niezrozumiałych znaków i wychodzi z koła.

– Wejść do tego pentagramu, mój śmiałku – rzekł do mnie – i nie wychodź przed otrzymaniem dostatecznych rękojmi.

– Wytłumacz lepiej, jakież to mają być rękojmie?

– Gdy wszystko rozkazom twym podlegać będzie. Lecz pamiętaj, narazisz się na największe niebezpieczeństwo, jeżeli przedtem ze strachu uczynisz jakiś krok fałszywy.

Co mówiąc, daje formułkę wywołania zaklęcia; krótką, dobitną, przeplataną pewnymi słowy, których nigdy nie zapomnę.

– Zaklęcie to – powiada – wygłoś śmiało, a potem trzykrotnie zawołaj wyraźnie: „Belzebubie!”. Przede wszystkim nie zapomnij, coś mi obiecał!

Przypomniałem sobie, że się przechwalał, iż diabła za uszy wytargam.

– Dotrzymam słowa – odparłem – chcąc uniknąć zarzutu przechwałki.

– Życzmy ci tedy powodzenia – powiada – a kiedy będziesz gotów, daj nam znać. Stoisz na wprost drzwi, za którymi nas znajdziesz.

Po czym wychodzą.

Nigdy chyba żaden fanfaron w gorszym nie znalazł się położeniu. Była chwila, kiedym chciał ich przywołać z powrotem. Lecz zbyt wiele znieść bym musiał wstydu. Poza tym

równałoby się to straceniu nadziei na wszystko. Stałem więc mocno na miejscu i namyślałem się przez chwilę.

„Chcieli mi strachu napędzić – rzekłem – i przekonać się, czy nie jestem tchórzem. Ci, którzy chcą mnie wypróbować, stoją o dwa kroki stąd, muszę się mieć na baczności, gdyż może być, że podczas wymawiania zaklęcia popróbują przerazić mnie. Trzymajmy się! Kiepskim żartownisiom odpowiedzmy żartem”.

Krótko trwało to rozmyślanie przerywane krzykiem sów i puchaczy zamieszkujących okolicę i samą pieczarę, lecz dodało mi nieco otuchy. Stoję mocno w nogach osadzony, głosem jasnym i podniesionym wymawiam formułę zaklęcia i naśladując jego brzmienie, trzykrotnie wołam w krótkich odstępach: „Belzebubie!”.

Dreszcz przejął mnie na wskroś, włosy zjeżyły się na głowie.

Nagle, kiedy właśnie skończyłem, w sklepieniu naprzeciw mnie otwiera się na oścież okno. Strumień światła, jaskrawszego niż dzienne, wypływa przez otwór, w którym znajduje się łeb potwornego zarówno przez rozmiary, jak i samą postać wielbłąda. Uszy zwłaszcza – nadmiernie wielkie. Ohydne widmo otwiera gębę i odzywa się głosem odpowiadającym całości zjawy: *Che vuoi?*<sup>1</sup>. Całe sklepienie, wszystkie jaskinie okoliczne huczą, jakby się echem ścigały: *Che vuoi?*

Nie potrafię opisać sytuacji, w jakiej się znalazłem, ani wytłumaczyć, co właściwie podtrzymało mą odwagę, iż nie straciłem przytomności na widok tej zjawy i wśród straszliwego huku grzmiącego w uszach moich. Poczułem, że muszę zebrać wszystkie siły – pot zimny mógł je osłabić. Wytężyłem całą moc. Wielka musi być dusza ludzka i przedziwną posiadać odporność. Mnóstwo uczuć, obrazów i myśli obudziło się w sercu moim, przemknęło przez umysł i wraz podziało na

---

<sup>1</sup> *Che vuoi?* (wł.) – Czego chcesz? (wszystkie przypisy od redakcji).



mnie. Nastąpiło przesilenie, opanowałem trwogę. Utkwiłem w widmie wzrok nieustraszony.

– A ty czego chcesz, zuchwalcze, który się w tak ohydnej pojawiasz postaci?

Widmo przez chwilę zwleka z odpowiedzią.

– Wołałeś mnie – mówi wreszcie głosem nieco przyciszonym.

– Czy niewolnik – powiadam – przerazić chce pana swego? Jeżeli przyszedłeś po moje rozkazy, ukaż się w odpowiedniejszej postaci i przemawiaj pokorniej.

– Mistrzu – odpowiada widmo – w jakiej mam zjawić się postaci, abym zadowolili swego pana?

„Pies” – pomyślałem natychmiast, a przeto rzekłem: „Przyjdź jako piesek!”. Ledwo zdążyłem rozkazać, a już potworny wielbłąd wydłużył gardziel na szesnaście stóp, głowę opuścił aż na środek sali i wypluł białego pieska z miękką błyszczącą sierścią i zwisającymi aż do ziemi uszami.

Okno znów się zamyka, cała poprzednia zjawa znika i pod sklepieniem, w miarę oświetlonym, zostajemy tylko ja i pies.

Skacząc i kręcąc ogonem, biega po nakreślonym kole.

– Mistrzu – odzywa się piesek – chciałbym polizać stopy twoje, lecz odpycha mnie ten krąg straszliwy, który cię otacza.

Zdobywam się na odwagę, wychodzę z koła i wyciągam nogę; pies liże ją. Chcę chwycić go za uszy, a on kładzie się na grzbiecie, jak gdyby się łąsił. Spostrzegam, że to suczka.

– Wstań – mówię mu – przebaczam ci. Widzisz, jestem w towarzystwie, panowie ci czekają na mnie nieopodal, byli na spacerze, są pewno głodni i spragnieni; chciałbym ich uraczyć małą przekąską. Muszę mieć owoce, konserwy, lody i greckie wina. Zrozumiano? Zapal lampy i udekoruj salę, bez przepychu, lecz przyzwoicie. Przed końcem uczty zjawisz się tu jako pierwszorzędną śpiewaczką z harfą. Dam ci znać, kiedy masz się pojawić. Pamiętaj! Zagraj rolę swą bez zarzutu, śpiewaj z uczuciem i zachowuj się godnie i powściągliwie.

– Będę posłuszna, mistrzu, lecz pod jakim warunkiem?...

– Pod warunkiem że masz słuchać, niewolniku. Usłuchaj bez szemrania lub...

– Nie znasz mnie, mistrzu! Inaczej nie traktowałbyś mnie tak surowo. Jedynym warunkiem, jaki mógłbym dodać, jest: ułagodzić cię i przypodobać się tobie.

Zanim jeszcze skończył, ledwo zdołałem się obejrzeć, rozkazy moje były już wykonane; zmiana dekoracji nastąpiła szybciej niż w operze. Mury sklepienia, przedtem czarne, wilgotne i omszone, nabrały miłych barw i przyjemnych kształtów. Była to sala marmurowa koloru jaspisu, wsparta na kolumnach. Osiem kryształowych żyrandoli, po trzy świece w każdym, rozlewało żywe i równomierne światło.

Po chwili zjawia się stół i bufet obładowany całkowitą zastawą do naszej uczy; najrzadsze owoce, najwyszukańsze słodczyce i smakołyki. Porcelana użyta do biesiady pochodziła z Japonii.

Suczka w tysięcznych podskokach biegła po sali, łasząc się do mnie, jak gdyby chciała przyspieszyć pracę i zapytać mnie, czy jestem zadowolony.

„Biondetto – rzekłem – świetnie! Włóż teraz liberię i powiedz tym panom znajdującym się w pobliżu, że czekam na nich i że nakryto do stołu”.

Ledwo odwróciłem wzrok, gdy ujrzałem zgrabnie przybranego pazia w mojej liberii, z zapaloną pochodnią w rękę. Wraca po chwili, prowadząc za sobą towarzysza mego: owego Flamandczyka i dwóch przyjaciół jego.

Przewidując wprawdzie coś niezwykłego przez samo zjawienie się zapraszającego pazia, towarzysze moi nie mogli jednak spodziewać się, że do tego stopnia zmieni się miejsce, w którym mnie zostawili. Gdyby nie to, że myśli miałem zbyt-  
nio zajęte, zdziwienie ich bardziej by mnie ubawiło. Wyraziło się ono naprzód w okrzyku, potem odmalowało się na twarzach, świadczyło o nim wreszcie całe zachowanie.

„Panowie – rzekłem – przez wzgląd na mnie odbyliście ten długi spacer, tyleż drogi pozostaje nam jeszcze, aby dojść do Neapolu; sądziłem więc, że nie pogardzicie tym skromnym posiłkiem i zechcecie mi łaskawie wybaczyć mały wybór oraz brak obfitości w tej przygotowanej naprędce kolacyjce”.

Nonszalancja moja wprawiła ich bodaj w większe jeszcze zdumienie niż zmiana dekoracji i widok wykwintnej uczyty, do której ich zapraszałem. Zauważyłem to i, zdecydowany zakończyć rychło przygodę, której w głębi ducha nie dowierzałem, pragnąłem jak najbardziej ją wykorzystać, wysilając się na wesołość stanowiącą główny rys mego charakteru.

Nalegałem na nich, aby zajęli miejsca przy stole. Paź przysunął krzesła z podziwu godną bystrością. Siedliśmy. Napełniłem kielichy i rozdzieliłem owoce. Lecz ja jeden tylko mówiłem i jadłem, usta gości moich otwarte były tylko ze zdumienia. Namówiłem ich wreszcie do napoczęcia owoców; uczynili to, widząc niefrasobliwość moją. Wznoszę zdrowie najładniejszej kurtyzany: Neapolu. Wychylamy je. Opowiadam o nowej operze i o przebywającej tu od niedawna rzymskiej improwizatorce, której talent wywołał podziw na królewskim dworze. Zaczynam mówić o sztukach pięknych, o muzyce i rzeźbie, przy sposobności chwałę kilka posągów marmurowych zdobiących salę. Na miejsce opróżnionej butelki zjawia się pełna, lepsza. Paź z pomnożoną gorliwością nie ustaje w obsłudze ani na chwilę. Ukradkiem rzucam nań spojrzenie. Mam wrażenie, że to bóg miłości w przebraniu pazia. Towarzysze mej przygody obrzucają go także skrycie spojrzeniami pełnymi zdumienia, rozkoszy i niepokoju. Monotonia tego położenia zaczyna mi się nie podobać. Spostrzegam, że czas ją przerwać. „Biondetto – mówię do pazia – signora Fiorentina przyrzekła mi udzielić kilku chwil. Zobacz, czy już przyszła”. Biondetto wybiega z pokoju.

Goście moi nie zdążyli nawet dać wyrazu swemu zdumieniu z powodu tego zadziwiającego polecenia, gdy drzwi